

Pismo

MAGAZYN OPINII

CZERWIEC 2022 | NR 6 (54)

SOCZEWKA PISMA

Ocalić świat przed szóstym wymieraniem

Z PISMEM U

Jednej z najbardziej wpływowych Polek na świecie

ROZMOWA

Margaret Atwood: po co wojuję na Twitterze

REPORTAŻ

Dlaczego młodzi nie rozmawiają z rodzicami?

CENA: 17,99 zł (w tym 8% VAT)

ISSN 2544-5022 INDEKS 422258



9 772544 502203



MAGAZYN OPINII

Pismo.

CZERWIEC 2022 | NR 6 (54)



Czytaj i słuchaj, jak Ci wygodnie.

MAGAZYN OPINII
Pismo.



Kup dostęp online, a otrzymasz:

- dostęp do wszystkich treści na magazynpismo.pl,
- wydanie na czytniki (pliki: PDF, ePUB i MOBI),
- wydanie audio (do pobrania lub w formie playlisty online),
- pełne cyfrowe archiwum tekstów i nagrań,
- dodatkowe treści dostępne tylko online,
- ikoniczne okładki w wersji do druku,
- zaproszenie do zamkniętej grupy „Czytamy Pismo”.

od
10 zł
za miesiąc

magazynpismo.pl/preumerata

Pismo.

CZERWIEC 2022

PROZA FELIETON

Córczanka | 6
BOŻENA KEFF

2 | ROZMOWY Z K. **Gniją na redzie**
KAROLINA LEWESTAM odpowiada na pytania czytelniczek

Odpowiednie słowa | 90
LUCY CALDWELL

96 | PRZYPISY **À propos bioróżnorodności**
ZUZANNA KOWALCZYK

RZECZ GUSTU SOCZEWKA PISMA

Redakcja poleca | 3
wydarzenia kulturalne w czerwcu

14 | **Ziemia, część 4. Człowiek, wyrodne dziecko matki natury**
TOMASZ ULANOWSKI sprawdza, czy uda nam się powstrzymać szóste wymieranie

APTECZKA Z PISMEM U...

Co w niej trzyma... | 65
AGNIESZKA WOLNY-HAMKAŁO

46 | **Profesorki od powietrza, Lidii Morawskiej**
JULIA LACHOWICZ pisze o Polce z listy najbardziej wpływowych osób według „Time’a”

POEZJA ROZMOWA

Metamorfoza | 13
LULJETA LLESHANAKU

66 | **Igranie z ogniem**
HADLEY FREEMAN pyta MARGARET ATWOOD nie tylko o poprawność polityczną

[...] | 55
MARIANNA KIJAŃSKA

REPORTAŻ

.Żona Lota. | 89
IRYNA CIŁYK

38 | **Gryzoń w wielkim mieście**
GABRIELA JASTRZĘBOWSKA podąża śladem nowojorskich szcurek

OBRAZ

72 | **O czym nie powiem swoim rodzicom**
ANTONI ANTOSZEK pyta rówieśników, dlaczego trudno im rozmawiać ze starymi

CYKL REMEDIUM **Drugie życie żywności** | 4
RAV.A STORIES

HISTORIA OSOBISTA

FOTOREPORTAŻ **Pokazać naszą kruchość** | 56
JULIA ZABRODZKA

82 | **Właśnie po to**
KATERYNA KALYTKO o tym, jak zamieniła pisanie wierszy na kupowanie amunicji

W RAMACH PISMA **Bez tytułu** | 80
QAVAVAU MANUMIE

GALERIA **Wojenne rysunki** | 84
ALEVTINA KAKHIDZE

ŻARTY RYSUNKOWE
HENRYK

OKŁADKA **Odnowa oblicza Ziemi**
PIOTR KOWALCZYK

Pismo.

Wydawca: Fundacja Pismo
ul. Wojciecha Górskiego 1/66,
00-033 Warszawa
KRS: 0000689263, NIP: 1182150957

Prezes Zarządu: Piotr Nesterowicz
Członkinie Zarządu:
Magdalena Kicińska, Kalina Wysznińska

Adres redakcji: Pismo. Magazyn opinii, ul. Wojciecha Górskiego 1/66, 00-033 Warszawa,
Redaktorka Naczelna: Magdalena Kicińska, Kultura i sekretarstwo redakcji: Katarzyna Kazimierska,
Weryfikacja faktów: Marcin Czajkowski, Idee: Karolina Lewestam, Ekonomia i Technologie: Zuzanna Kowalczyk,
Redakcja: Urszula Kifer, Zofia Sawicka, Korekta: Monika Marczyk, Dorota Śrutowska,
Szefowa Projektów Cyfrowych: Barbara Sowa, Wydanie Cyfrowe: Mateusz Roesler,
Projekt makiety: Jacek Utko, Redaktorka Artystyczna: Karolina Mazurkiewicz,
Szefowa Marketingu i Sprzedaży: Kalina Wysznińska, Promocja: Ewa Salamon, Fundraising: Natalia Czarkowska,
Prenumerata i subskrypcja: Marcin Lipiec, Reklama: reklama@magazynpismo.pl

Pismo. Magazyn opinii
www.magazynpismo.pl

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania. Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i ma prawo do odmowy publikacji.



KAROLINA LEWESTAM (ur. 1979), dziennikarka i redaktorka. Obroniła doktorat z filozofii na Uniwersytecie Bostońskim. Wielokrotnie nominowana do nagrody Grand Press. Członkini redakcji „Pisma”.

Gnijąc na redzie

Droga Sama,

Kiedyś dużo żeglowałam po świecie – i wielokrotnie dochodziłam potem do wniosku, że nigdy później nie udało mi się już zrobić nic równie mądrego.

Mądrość żeglowania polega bowiem na równowadze między portem a drogą. Oto po długiej drodze zawijasz do portu. Naprawiasz statek, zalepiasz dziury w burtach, wzmacniasz liny. Kupujesz prowiant. I tak jest do czasu, kiedy trzeba na powrót wejść po trapie, wdrapać na reję i postawić żagle. Żaglowiec rusza – i nagle, zamiast naprawiać i zaopatrywać, płyniesz. Statek jako tako działa; jeśli nie walnie o skałę, nie będziesz poprawiać ściągów na żaglach i wymieniać klepek w pokładzie. Myślisz o drodze. O tym, co trzeba zrobić, żeby iść naprzód, działać, dostać się do następnego portu. Zamiast eksplorować, badać i naprawiać, ciągniesz za liny, kreślisz po mapie i ruszasz sterem.

Nie masz wrażenia, Sama, że podobnie jest z terapią? Że trzeba czasem zstąpić w głąb siebie, ale po to, żeby potem ruszyć dalej w życie? Że trzeba się naprawić, ale po to, żeby płynąć dalej?

Droga Sama, zawsze dla bezpieczeństwa zakładam, że każdy opis jest po trosze nieprawdziwy. Córka ma pewnie trochę racji, kiedy mówi, że czasem krewiłaś jako matka – a ty masz pewnie wiele racji, mówiąc, że próbowałaś jej tworzyć dom pełen dobra i miłości. Ale nawet jeśli jesteś przyczyną niektórych jej problemów – zresztą która matka nie jest? – to i ona jest tu winna! Jest winna zasiedzenia w porcie, a także, bardziej dosłownie, w twoim (tak, twoim) domu. Jej statek stoi na redzie i gnije, a ona, zamiast naprawiać co trzeba, łązi po kei, brodzi w wodzie po kostki i spisuje bez końca listę wszystkich najdrobniejszych usterek ze wskazaniem win. „Klepkę w pokładzie naruszyła mama. Drzazgi w grotmaszcie odpadły przez mamę. Prawa gejtawa dolnego marsla przetarła się przez mamę”. Jej terapia trwa już półtora roku. To może i krótko, ale na pewno nie bardzo krótko. Przez te półtora roku – tak przynajmniej wynika z twojego listu – nie udało jej się dobrze zżyć ani jednego żagla; lista wciąż rośnie, także lista twoich win.

To piękne, kiedy terapia pokazuje nam przyczyny naszych porażek i smutku. Piękne i uwalniające. Ale jeszcze piękniejsze jest, kiedy zaraz potem uświadamiam nam, że sami sobie jesteśmy sterem i żeglarzem, a również i okrętem. Że niezależnie od tego, kto nam nadpruł grotu, to my musimy się wspiąć na reję z igłą i czerować. A już najpiękniejsze jest, kiedy zaczynamy rozumieć, że jednak nie tylko sobie jesteśmy okrętem, ale i innym ludziom też – im też musimy czasem to i owo przybić, naprawić, zacerować. Na knagi i kabestany! Jak długo można mieć naście lat? Naprawdę aż do trzydziestki? Nawet gdybyś była matką z koszmarów, chyba nadszedłby już przecież czas, gdy twoje dawne przewiny zostają jakoś tam przepracowane i wybaczone, a twoje dorosłe dziecko pomaga ci trzymać ster. I tylko czasem wznosi oczy do góry, bo matka głupio coś powie.

Moja rada? Daj tej terapii jeszcze trochę czasu. Być może ten bunt przeciwko tobie to jakaś konieczna faza uzdrawiania duszy. Być może i ty powinnaś przyznać się przed sobą do swoich win; powiedzieć jej o tym, uderzyć się szczerze w pierś. Ale nie dawaj jej całego czasu świata! Jeśli ta niechęć, obraźliwa niechęć, będzie trwała zbyt długo, byś ty mogła to znieść... to może nadejdzie czas wręczyć jej nakaz opuszczenia portu; tfu, twojego domu. Ona ma prawo szukać siebie, a ty masz prawo tęsknić za tym, by wreszcie ci przebaczyła, oddała cumy i zaczęła żyć.

Droga K.

(...) Nie napisałam do ciebie, gdybym nie przeczytała wczoraj w Onecie zwierzeń matki, której dorosła córka poszła na terapię. Popłakałam się, czytając. Ja mam podobny problem. Też córka. Też dorosła już; zbliża się do trzydziestki. Ma za sobą dwa długie, ale koniec końców, nieudane związki. (...) Nie będę się wdawać w więcej szczegółów. W każdym razie zachęcałam ją do terapii, bo wszyscy teraz twierdzą, że rozwiąże wszystkie problemy. (...) Po półtora roku czuję się tak, jakbym straciła najbliższą osobę. Nie chce ze mną rozmawiać, chociaż wciąż razem mieszkamy. Gardzi mną i mówi to głośno. Byłam samotną matką, miałam ją wcześniej, (...) jej ojciec od razu odszedł (...). Dziś dowiaduję się, że powodem wszystkich jej problemów jest mój nieudany zyciorys (...). Nieudane związki to wina braku dobrego przykładu i nieobecność ojca. W pracy jej się nie układa, bo przeze mnie ma problemy psychiczne. Nie kochałam jej tak, jak należy. Za dużo pracowałam. (...) Nic nie robiłam dobrze. Co najgorsze, jej pretensje są nie do naprawienia, bo dotyczą przeszłości. Moja obecność „zagroza jej psychice”, więc wychodzi z kuchni, kiedy się pojawia. (...) Zachowuje się jak w hotelu (...). Ta wrogość jest nie do zniesienia. (...) A najgorsze, że czuję się jak w domu dla obłąkanych, bo wszystko pamiętam inaczej. Pamiętam miłość, nasze wspólne, całkiem dobre życie, na które ciężko pracowałam i... tak, poświęcałam się jej. (...) Nie wiem, czego oczekuję od ciebie, ale piszę. Przyznam, że źle mi się o tym rozmawia z przyjaciółkami, bo wszystkie mają świetne stosunki z dziećmi, a ja im zazdroścę (...).

Sama

Czasem o trudnych rzeczach dobrze jest napisać do kogoś, kto jest daleko. Napisz do mnie. rozmowyzk@magazynpismo.pl

Rzecz gustu,

CZYLI REDAKCJA „PISMA”
poleca w **cz**erwcu



Celina Osiecka w Muzeum Warszawskiej Pragi

Od 14 maja w Muzeum Warszawskiej Pragi można oglądać wystawę *Celina Osiecka. Usługi fotograficzne*, na której zgromadzono fotografie wykonane między 1962 a 2022 rokiem w zakładzie Celiny Osieckiej, autorki tysięcy portretów warszawianek i warszawiaków. Wystawę uzupełniają zdjęcia z rodzinnego albumu Osieckiej, pokazujące historię samego zakładu i zmieniającą się wokół niego rzeczywistość.

WIĘCEJ: muzeumpragi.pl



Big Book Festival w Warszawie

Od 24 do 26 czerwca w Warszawie będziemy mogli wziąć udział w dziesiątej, jubileuszowej edycji literackiego Big Book Festival. Tym razem organizatorzy zapraszają na warszawską Pragę, do postindustrialnej przestrzeni przy ulicy Otwockiej 14, gdzie odbędą się spotkania między innymi z Martinem Capparosem, Sonią Faleiro, Georgim Gospodinowem, Érikiem Vuillardem czy Megan Nolan. W programie, jak co roku, liczne debaty, rozmowy, spotkania i wydarzenia teatralno-literackie.

WIĘCEJ: bigbookfestival.pl

Czerwiec 2022

9

14

24



Short Waves Festival w Poznaniu

Czternasta edycja międzynarodowego festiwalu filmów krótkometrażowych Short Waves Festival odbędzie się w Poznaniu i online między 14 a 19 czerwca. W programie znajdziemy blisko sto wydarzeń w dwudziestu lokalizacjach przestrzeni miejskiej Poznania i trzysta filmów, w tym dziewięćdziesiąt cztery konkursowe. W tym roku festiwal zaprezentuje między innymi kinematografię Rumunii, przegląd filmów krótkometrażowych nominowanych do najbardziej prestiżowych nagród filmowych, a także zupełnie nową sekcję Long Story Short, czyli pokazy filmów pełnometrażowych i mniej znanych krótkich metraży wielkich reżyserów.

WIĘCEJ: shortwaves.pl



Festiwal Europejski Poeta Wolności w Gdańsku

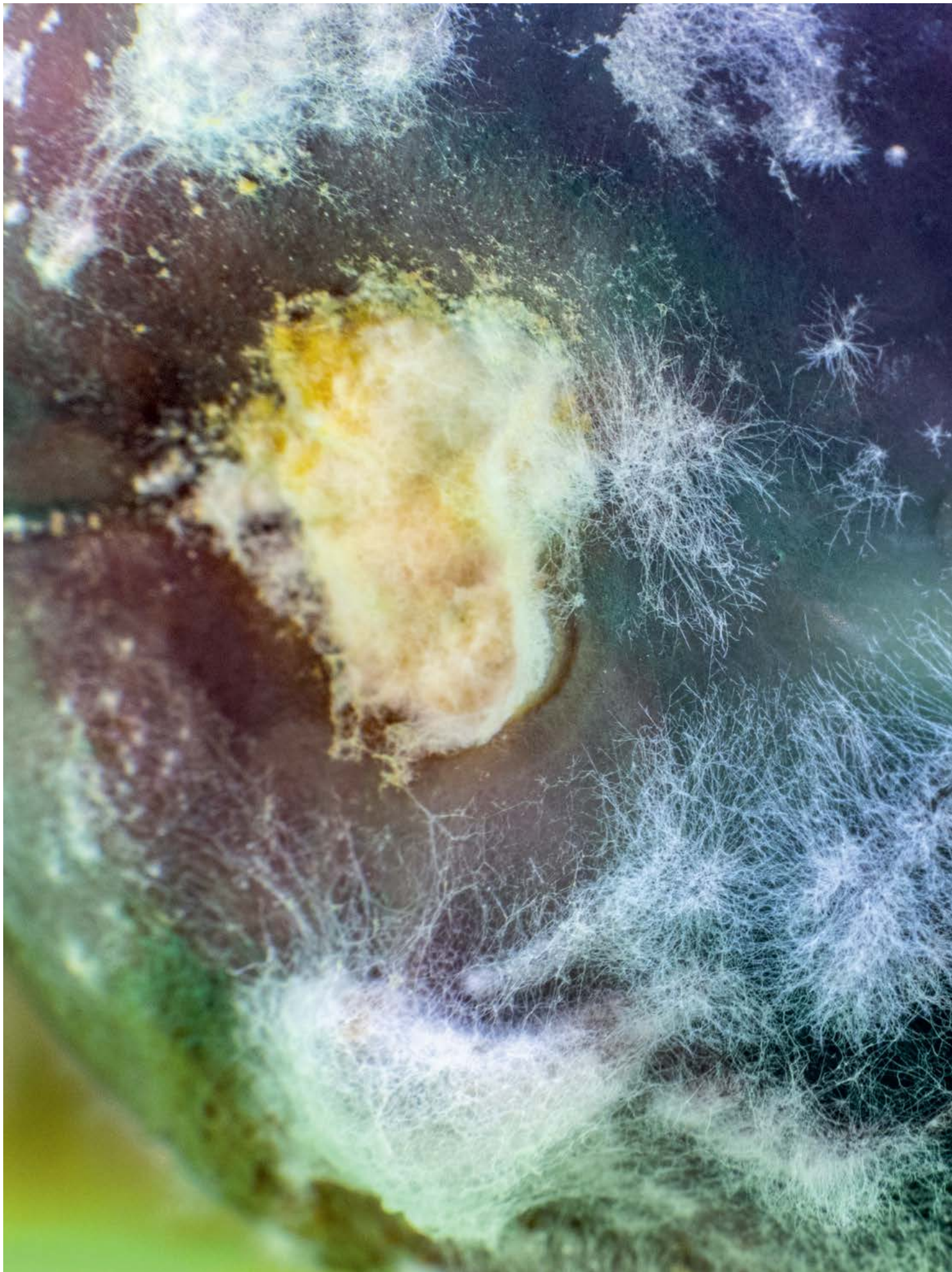
Między 9 a 11 czerwca w Gdańsku odbędzie się siódma edycja Międzynarodowego Festiwalu Literatury Europejski Poeta Wolności. Organizatorzy zapraszają na spotkania i rozmowy z pisarzami i pisarkami, warsztaty oraz projekty artystyczne. Podczas festiwalu wręczona zostanie również Nagroda Literacka Miasta Gdańska.

WIĘCEJ: europejskiipoetawolnoscip.l

Wystawy w Gdańskiej Galerii Miejskiej

Gdańska Galeria Miejska otworzyła 29 kwietnia trzy wystawy, które można oglądać jeszcze w czerwcu. Wystawa *Ulica Słabości* Lesi Pczołki w Gdańskiej Galerii Güntera Grassa to próba zmierzenia się z doświadczeniem białoruskiego zrywu obywatelskiego. W głównej przestrzeni Gdańskiej Galerii Miejskiej można z kolei zobaczyć wystawę *Horyzont zdarzeń* Joanny Rajkowskiej, której prace podejmują temat władzy spojrzenia, a w Centrum Sztuki Współczesnej Łaźnia – wystawę Rosemberga Sandovala pod tytułem *Labriego*. Transgresyjna sztuka Sandovala porusza kwestie moralności, śmierci, wygnania i pamięci wokół przemocy w Kolumbii.

WIĘCEJ: ggm.gda.pl





REMIUM

Drugie życie żywności

zdjęcie i tekst MATEUSZ MATUSZCZAK

—

Marnujemy żywność. Około 33 procent wyprodukowanego jedzenia nigdy nie trafi na stół. Paradoks polega na tym, że zaledwie jedna czwarta produktów lądujących w śmietniku wystarczyłaby na zaspokojenie potrzeb głodujących. Statystyki pokazują, że ilość marnowanego pożywienia z roku na rok rośnie. Winni tego stanu rzeczy są wszyscy: producenci, spedytorzy, hurtownicy, restauratorzy i my – konsumenci. Kompulsywne, nadmiarowe i nieprzemyślane zakupy, promocje w marketach typu: „kup dwa produkty, trzeci otrzymasz za darmo” czy obficie zastawione stoły na uroczystościach rodzinnych nie pomagają w kształtowaniu dobrych praktyk konsumpcyjnych.

Jak sobie radzić z nadmiarową żywnością? Wiesz, że czegoś nie zjesz, albo narobiłeś za dużo bigosu? Skorzystaj z jadłodzielni. Zapoczątkowane w dużych miastach spółdzielcze lodówki zdobywają popularność również w mniejszych miejscowościach. Są już między innymi w Hrubieszowie, Janowie Lubelskim, Strzelinie, Kwidzynie. Sprawdź, czy jest taka w twojej miejscowości. Jeśli dysponujesz prywatnym miejscem, które jest ogólnodostępne (przy ulicy, w centrum miasta) – zgłoś się do fundacji WezPomoz.pl i postaw lodówkę spółdzielczą.

Możesz też dać ogłoszenie. Wejdź na grupy foodsharingowe w mediach społecznościowych w twojej okolicy. Sprawdź, co znajduje się w ogłoszeniach i jak szybko znika. Możesz także dać urlop swojej lodówce przed wyjazdem na wakacje.

Co zrobić, gdy jest już za późno na oddanie jedzenia?

Resztek pochodzenia roślinnego wcale nie trzeba wyrzucać. Można karmić nimi na przykład dżdżownice. Kuchenny kompostownik zamieni to, co chciałeś wyrzucić do kosza, w cenny nawóz. Dżdżownice ponadto zjedzą fusy z kawy, liście herbaty czy skórki z bananów. Wykorzystasz go jako podłoże dla roślin. Rosną na nim jak szalone!

PROZA

Córczanka

tekst BOŻENA KEFF



Kaja weszła do sali, w której stały trzy łóżka. Jedno było zajęte i to w jego kierunku powiedziała „dzień dobry”. Naprzeciwko drzwi znajdowało się wielkie okno, wisiało w nim szare, ciężkie niebo. Salowa pokazała Kai łóżko koło drzwi i otworzyła szafę w ścianie obok.

– Tu można schować rzeczy – powiedziała.

Kaja kiwnęła głową, ale nie włożyła torby do środka. Kiedy salowa wyszła, przywitała się ze współlokatorką, starszą panią, która miała gęste siwe włosy i okulary w niebieskiej oprawce. Kobieta odłożyła otwartą książkę na koldrę i powiedziała Kai, że na końcu korytarza jest także ogólnodostępna kuchnia.

Kaja usiadła na łóżku i zaczęła wyjmować z torby tabletki, koszulkę do spania, szlafrok i kosmetyki.

– Kosmetyki niech pani zostawi w łazience – poradziła jej współlokatorka. – Po co nosić za każdym razem?

Kai zrobiło się przyjemnie, że została zaproszona do wspólnoty. Bez zaproszenia też by mogła, oczywiście, ale... Schowała torbę do szafy, a rzeczy do białej metalowej szafki. Nad jej głową znajdowała się lampka nocna, był też kontakt do ładowania telefonu. Po chwili zajrzała pielęgniarka i poprosiła ją do gabinetu lekarskiego.

Siedziało tam przy biurkach dwóch lekarzy. Jeden z nich, jej chirurg ginekolog, wysoki, z ciemnymi włosami i pogodną twarzą, właśnie kończył coś pisać w swoim laptopie.

– Miałem tu panią dwojga długich nazwisk, więc piszę powoli, żeby się nie pomylić – wyjaśnił. – Kobieta wychodzi za mąż, rozwodzi się, zostaje wdową i w końcu ma tyle tych nazwisk, że się na nagrobku nie mieszczą, prawda? – zaśmiał się.

Jego kolega, znacznie starszy, także się uśmiechnął:

– Znałem panią, która dwa razy wyszła za mąż za tego samego gościa i dwa razy to sobie skracala, to wydłużała nazwisko.

Znów obaj zaśmiali się rubasznie. „Ha, ha, ha” – przedrzeźniała ich w głowie, to o niej mówią, że nie ma nazwiska, nie to, co oni, oni mają nazwisko od urodzenia po grób.

– Już się tak nie ciesz – powiedział w końcu starszy lekarz. – Bo pani to nie bawi.

– Nie bawi to pani? – upewnił się jego kolega.

Kaja milczała chwilę, ważąc, na co ją stać, i w końcu przyznała: – Nie bawi.

– No cóż – westchnął lekarz.

Odnalazł Kaję w grafiku operacji, przejrzał jej badania, omówił rzeczowo operację i na zakończenie powiedział: – Mamy teraz nowe superśrodki anestetyczologiczne, bo widzi pani, jest początek drugiego kwartału, są zapasy. Anestezjolog się pojawi jeszcze dziś, to sobie pani wybierze coś ekstra.

– Dobrze – powiedziała. – Coś sobie wybiorę. – To miał być żart, ale wyszedł nikły jak gasnąca zapalka.

– Pani taka *sieriozna*, przyda się coś z efektem rozweselającym – powiedział starszy lekarz. – No, są takie środki – dodał, widząc jej sceptyczną minę.

W POKOJU WŁOŻYŁA bawełniany fioletowy dres. Nie chciała chodzić cały dzień w piżamie, lubiła jasny podział na dzień i noc. W szpitalu ludzie, nawet jeśli przyszedli na dzień czy dwa, na same badania, przystosowują się do tego, że łóżko jest ich jedyną przestrzenią, i zajmują je tak, jak sądzą, że powinni. Kaja przesunęła dużą szpitalną poduszkę w nogi łóżka, a z torby wyjęła własną – małą, podłużną. Wydawało jej się, że ledwie zdążyła zajrzeć do tabletki, a już pojawił się obiad. Poczuli, że mimo niepokoju jest bardzo głodna – wstała tego dnia wcześniej, bo miała się stawić w szpitalu o 7:30, a tak rano nie umiała jeść.

Pani Tola, jej sąsiadka, była dość rozmowna. Miała, jak wynikało z tabliczki informacyjnej zawieszanej w nogach łóżka, sześćdziesiąt sześć lat, ale wyglądała młodziej, mimo siwych włosów, a może dzięki nim, bo jakoś pasowały do jej cery. Pochwaliła jedzenie w szpitalu – całkiem przyzwoite. – Mają tu swoją kuchnię, po dawnemu – powiedziała – a nie catering. – Jedzenie było przykryte metalowymi pokrywkami, żeby trzymało ciepło.

– Bardzo dobra zupa jarzynowa – zauważyła sąsiadka i Kaja musiała przyznać jej rację. – Ze śmietaną. Ja w domu zawsze dodaję też koperek, jak nie ma świeżego, to suszony.

U nich w domu to raczej Martyna gotowała. Kaja w kuchni się niecierpliwiła,

a Martyna odwrotnie, mówiła, że gotowanie koi jej nerwy, uspokaja, choć sama nie potrzebowała tak regularnych posiłków jak Kaja, która źle się czuła, gdy gubiła rytm dnia. Kiedy Kaja chciała jej pomóc, Martyna mówiła: „Nie, dziękuję ci, nie lubię, gdy mi się ktoś po kuchni kręci, kiedy gotuję”.

Kaja uśmiechnęła się do pani Toli.

– Nie jestem dobrą kucharką – wyznała. – Ale umiem docenić, kiedy jem coś smacznego.

Potem spytała, czy pani Tola nie chciałaby klopsików wołowych z jej drugiego dania.

– A pani nie zje?

– Nie jem mięsa.

– No tak – powiedziała pani Tola, przejmując klopsiki. – Moja wnuczka też nie je, ale ja jestem z pokolenia, dla którego mięso to było prawdziwe jedzenie. Staram się za dużo go nie jeść, ale całkiem nie zrezygnuję.

– Białko jest potrzebne – przyznała ugodowo Kaja. – Ale nie musi być z mięsa.

– Ale ja bardzo lubię jarzyny i fasolę – powiedziała pani Tola.

Zaczęły sobie opowiadać, co można zrobić z fasoli. „Kobiece porozumienie ponad podziałami” – pomyślała Kaja.

Po obiedzie wyszła z sali, żeby swobodnie porozmawiać. Usiadła w fotelu przy oknie, wybrała numer Martyny i obserwowała nikłe życie korytarza. Minął ją ksiądz, wysoki, gruby mężczyzna o czerwonej twarzy. Chodził od pokoju do pokoju. Wszedł do ich sali i został dłuższą chwilę. Postanowiła nie wracać, dopóki nie wyjdzie.

Martyna nie odpowiadała. Kaja siedziała chwilę bez ruchu i patrzyła przez kolejne okno na szare chmury.

PRZEJRZAŁA SWOJE RZECZY, nie znalazła kremu do rąk. Postanowiła wykorzystać to jako pretekst, żeby się trochę rozejrzeć. Spytała pani Toli, gdzie można kupić gazety i kosmetyki, a ta poradziła jej, żeby zjechała na parter, tam wszystko znajdzie. Wyszła na korytarz; tuż przy windach – osobowej i transportowej – były drzwi prowadzące na taras, za szybą padał rzadki, niezdecydowany deszcz. Nie mogła się doczekać na windę osobową, więc wsiadła do transportowej – akurat stała otwarta i pusta. Trochę przypominała windę z centrów handlowych, ale była starego typu.

Dwa piętra niżej, na piątym, winda zatrzymała się i salowa wpełchnęła do środka szpitalne łóżko na kółkach. Leżał na nim ktoś bardzo połamany, miał w gipsie lewą rękę i obie nogi. Spod bandażu na głowie widać było tylko jasne włosy. Kaja domyśliła się, że to kobieta. Piętro niżej łóżko wyjechało z windy, wsiadła do niej pracownica kuchni z wysokim wózkiem załadowanym pustymi naczyniami.

– Czy to był ktoś z wypadku drogowego, nie wie pani? – zapytała Kaja.

– Nie z wypadku, ale powiem pani – odparła tamta. – To kobieta, którą wyrzucili przez okno z drugiego piętra.

– Jak to? – spytała osłupiała Kaja. – Jak to z drugiego piętra?

– No bo to, wie pani, prostytutka, chyba z Ukrainy – powiedziała dyskretnie kobieta.

– Przeżyła, ale jest połamana w wielu miejscach i nie wiadomo, co z kręgosłupem. Teraz ją na badania wzięli.

– Ale kto ją wyrzucił z drugiego piętra? – spytała Kaja.

– No, słyszałam, że jej pijani goście to zrobili. Wzięli ją za ręce i za nogi, rozhuśtali i wyrzucili.

– Też Ukrainicy? – zapytała Kaja.

– Nie wiem, czy ona z Ukrainy, czy z Białorusi, ale goście to nasi, tak. A pani czemu jedzie windą transportową? Dla pacjentów są osobowe.

– W osobowej był tłok – powiedziała Kaja – a ta stała otwarta i pusta. Myślałam, że mogę.

Wyszła z windy i chwilę stała, bo całą jej wyobraźnię zajął widok kobiety wyrzucanej z okna.

Przeszła przez długi korytarz parteru, gdzie były sale rehabilitacji i dwa małe sklepy ze wszystkim, co się przydaje w szpitalu, i kupiła krem, cały czas myśląc o zabandażowanej kobiecie. Wszystko się w niej kurczyło w środku na myśl o tym, co się stało z nieznaną z windy.

Zastanowiła się nad gazetą, ale doszła do wniosku, że nie chce kontaktu z rzeczywistością, która będzie w prasie.

Kiedy wróciła, pani Toli nie było. Podniosła zagłówek łóżka i w półsiedzącej pozycji jakiś czas kontemplowała burzowe niebo. Przypomniało się jej, jak ostatnio szła Krakowskim Przedmieściem. Na jezdni pod

pałacem prezydenckim stali jacyś ludzie z transparentem, ale nie widziała napisu z chodnika, więc zeszła na jezdnię, żeby go przeczytać. Zanim skończyła, jeden z policjantów podszedł do niej i zaryczał z głębi brzucha: – Pani wraca na chodnik!!! Kaja wstrząsnęła się ze strachu; miała poczucie, że siła wściekłości w jego głosie uderza w nią jak wichler, i na chwilę straciła równowagę, jakby miał ją zdmuchnąć. Ociągała się chwilę, żeby zachować honor, dopiero po chwili powiedziała: – Dobrze, wróć. – Jakby udzielała łaskawej zgody. Na taki opór ją było stać, nie na więcej.

– Powinnaś spytać: „A to dlaczego? Jak mam inaczej przeczytać transparent?” – powiedziała Martyna, kiedy jej to opowiadała.

– Nie byłam gotowa na to coś straszne, co zapowiadał jego głos – odpowiedziała.

W oknie pokoju nadal było szaro, pochmurno i deszczowo, i Kaja poczuła lekki niepokój.

WPIĘŁA SŁUCHAWKI w tablet, wpisała tytuł tanga i imiona tancerzy; tam chciała być, w tangu argentyńskim. Pojawili się Sebastian i Roxana w *No hay tierra como la mía*. Sebastian giętki i wzrostu Roxany, która ma figurę klepsydry, jest na szpilkach, z kokiem; trochę w typie starszej koleżanki. Chłopiec Sebastian eleganckimi, płynnymi krokami daje do przodu, klepsydra Roxana w złotych szpilkach płynie obok. Potem bracia Macano, podobni do siebie; zawiadająca energia, żartują, zalecają się, podstawiają sobie nogi, fikają, fruną. Z par homo Kaja lubiła oglądać Francisca i Lucrecia, ale to już balet. Lucrecio jest wąski, niewysoki, z ciemnymi, dużymi, poważnymi oczami, mistrz efeb, Francisco, mocniej zbudowany i wyższy; czuły i uważny, prowadził swojego doskonałego, miłego ukochanego co do nuty, ich taniec był jak wiersz, jakiś zagubiony wers z *Pieśni nad Pieśniami* – „Miły mój idzie, dokąd go powiodę, a ja podążam za nim, za każdym jego krokiem”.

W zeszłą sobotę one też tańczyły na zakończenie półrocznego kursu. Kaja włożyła

sukienkę, którą kiedyś kupiła w lumpeksie w Krakowie – z szaroróżowej tafty, na ramiączkach, lekko rozszerzaną, a do tego szare baleriny zapinane na paseczek. Martyna była w prostej czarnej sukience, która na dole miała frędzelki. – Frędzle – powiedziała Martyna – zawsze tańczą na korzyść ufrędzlowanej.

Tańczyły *A media luz* – z wysokimi dźwiękami pianina na początku i gwałtownym, spazmatycznym bandoneonem.

Corrientes tres cuatro ocho, segundo piso, asensor – Corrientes 3, 4, 8, drugie piętro, winda; obrót i okrążenie, kilka kroków podpatrzonych u Sebastiana i Roxany, szarpnięcie lewo–prawo; *Ni vecinos, ni portero*, ani sąsiadów, ani portiera, jej noga między stopy Martyny, Kaja robi głęboki przysiad na jednej nodze, druga prosta za nią, wstaje, wierzgnięcie do tyłu, Martyny wierzgnięcie, jej lydka na udzie Martyny, potem głowa przy głowie, to znaczy jej głowa nieco niżej, bo Martyna jest wyższa, ramiona blisko ramion i plecy oparte o plecy, kilka takich samych kroków – i znów przodem; Martyna wprowadza w ten spokojniejszy refren: *A media luz los besos, a media luz los dos* – w półmroku pocałunki, w półmroku my obie – opierają się o siebie tylko dłońmi, ona na koniec z przysiadu prawą nogą zatacza półokrąg z tyłu – „zmysłowy półokrąg – podkreślała Martyna – proszę cię, zmysłowy” – i Kaja robi, co może, przyryka oczy, wygina talię, w bucik nie umie włożyć już więcej zmysłowości.

Na chwilę oderwała oczy od tabletu i zdekoncentrowała się; wokoło był szpital i natychmiast przypomniła sobie pogruchotaną kobietę.

Zadzwoiła do Martyny, która akurat miała chwilę czasu. Opowiedziała jej o dowcipnych lekarzach.

– Durne żarty – stwierdziła Martyna. – I co ty na to?

– Że mnie to nie śmieszy – zabrzmiało to bardziej zdecydowanie, niż toczyło się w rzeczywistości. – To znaczy – sprostowała Kaja – po chwili walki wewnętrznej.

– No pewnie – powiedziała Martyna. – To jest szpital, oni są w pozycji władzy. A zasniesz? Nie denerwujesz się?

– Denerwuję się, ale umiarkowanie – powiedziała Kaja. – I chyba zasnę, zrobię relaks.

– Wyobraź sobie, że siedzę tam, obok ciebie, na twoim łóżku.

– A o której u mnie usiądziesz?

– Około jedenastej.

– To o jedenastej – poprosiła Kaja. – Pa.

ZANIM POSZŁY SPAĆ, a właściwie zanim pani Tola zasnęła, a Kaja znów wzięła tabletki, dowiedziała się jeszcze, że starsza pani mieszka pod Warszawą. Ma tam nieduży dom z ogrodem, mieszka na dole, a góra należy do córki z mężem i dwoma wnuczkami.

– Wie pani, ja jestem księgową i moja córka też – powiedziała pani Tola. – To dobry zawód, ludzie potrzebują księgowych. Znajomi mówią mi: „Oj, ty całe życie w tych cyferkach zagrzebana”, ale ja lubię liczby, a od kiedy są programy dla księgowych, to jeszcze lepiej mi się pracuje. Jestem już na emeryturze, ale mam jeszcze pół etatu i wcale mi się nie spieszy, żeby nie pracować.

Kaja uśmiechnęła się, dziwiąc się, że matka i córka miały ten sam zawód. Nie umiała by sobie wyobrazić takiej sytuacji w swoim wypadku. Jej matka w zasadzie była panią z towarzystwa; kiedyś skończyła studia ekonomiczne. Kaja włożyła wiele wysiłku w to, żeby być tam, gdzie jej matka nie mogłaby się dostać, gdzie byłaby od niej bezpiecznie oddzielona, robiła to najpierw nieświadomie, a potem już celowo. Ale może pani Tola i jej córka się lubiły.

Nie mogła się skupić, podgryzał ją niepokój o samą siebie, o operację, choć trudno powiedzieć, żeby się bała. O jedenastej położyła chwilę z duchem Martyny, żeby zaznać kojącej bliskości („kojącej bliskości”, tak sobie powiedziała), i miała prawie łyzy pod zamkniętymi powiekami, tak bardzo odczuła Martynę, od stóp do głów. Martyna położyła się koło niej, objęła ją, i zasnęły na trochę. Potem Kaja się ocknęła. Położyła się płasko, bez poduszki, i rozluźniała się od stóp do twarzy i skóry głowy, a kiedy doszła do języka, „który leży luźno jak płatek

kwiatu”, całkowicie się zbudziła. Musiała pójść do pielęgniarek po proszek nasenny.

NASTĘPNEGO DNIA przed śniadaniem znów poszła do przeszkłonego punktu pielęgniarek, gdzie pobrano jej krew do kilku analiz. Kaja patrzyła na tę swoją krew wypełniającą próbkówkę, stojącą koło innych próbek z krwią.

Po południu przysłała Martyna, przywitała się z panią Tolą, uściśniły się z Kają, która jakoś nie wytrzymała długości uścisku Martyny, nie wiadomo czemu, młode kobiety mogą się ścisnąć, ile chcą, nie są młodymi mężczyznami. Martyna rozejrzała się, zwidziała łazienkę, porozmawiała z panią Tolą o tym, że szpitale w Warszawie są zazwyczaj stare, ale ten jest i tak względnie wygodny, pielęgniarki w porządku i jedzenie zjadliwe. Potem obie zeszły na dół, do baru. Martyna wzięła sobie naleśniki, bo nie jadła obiadu.



Kaja opowiedziała jej o kobiecie, którą wyrzucono z okna.

– Jak to wyrzucono? – zapytała Martyna, zatrzymując się z uniesionym widelcem.

– Jej pijani goście wzięli ją za ręce i nogi, rozhuścili i wyrzucili – wyjaśniła Kaja. – Z drugiego piętra.

– Co za kanalie – powiedziała cicho Martyna. – Co za kanalie.

– Cały czas o tym myślę – przyznała Kaja. Obie milczały chwilę.

– Mam nadzieję, że zgniją w więzieniu – powiedziała w końcu Martyna. – Choć co jej z tego.

Potem zmieniła temat i opowiedziała Kai, jak ich kochana Rozalia na ostatnim spacerze wywęszyła w krzakach sporą kość

z resztkami mięsa. Martyna przestraszyła się, że sunia znów się zatruje, jak niedawno, kiedy coś zjadła w krzakach i potem przez tydzień matka Martyny, Wanda, która jest weterynarką, robiła Rozalce zastrzyki z antybiotykiem.

– Krzyczę, ale moje krzyki to ona ma w podogoni, więc rzucam się do niej i oczywiście rozwieram jej szczęki obiema rękami, a ta je zaciska, i wreszcie udało mi się, ale mówię ci, siłowałyśmy się, że można by nas obstawiać. Ale jak już jej zabierasz tę kość czy inne świństwo, uznaje to, czuje się pokonana i nie ma pretensji.

– Moje biedactwo kochane – powiedziała Kaja. – Moje kochane biedactwo.

STOSUNKI MARTYNY z matką bywały denerwujące, ale ludzkie, jak uważa Kaja. Martyna i Wanda były bezpośrednie, niekiedy się ścierały, nawet krzyczały na siebie, czasem się z tego śmiały, ale ogólnie były zaprzyjaźnione, to znaczy, wiedziały o sobie sporo, były sobie ciekawe i miały do siebie zaufanie. Kaja lubiła słuchać, kiedy rozmawiały o zdarzeniach, w których nie uczestniczyły, i o ludziach, których nie знаła, bo mówiły tak, że mogła wejść do ich świata, nie zostawiały jej na zewnątrz.

Zanim Martyna wróciła do domu, powiedziała jeszcze Kai, że gdy będzie już w formie, bo w końcu usunięcie cysty to nie jest bardzo poważna operacja, chciałaby, żeby pojechały gdzieś we trzy z Kają i Wandą, na wakacje czy choćby gdzieś na tydzień. – Nie byłam z matką nigdzie, od kiedy nie żyje ojciec – powiedziała. – A to już cztery lata. – Kai ten pomysł się w zasadzie podobał. Ze swoją matką nie utrzymywała stosunków już od kilku lat i Wanda, jako teściowa, była jakby zastępczą matką. Wanda lubiła Kaję, czasem, kiedy się żegnały, mówiła do niej: – To pa, trzymaj się, córczanko!

„Córkowa” byłoby bardziej symetrycznie do „synowej”, ale nie ma grama wdzięku – uważała Wanda.

JEJ WŁASNA RODZINA była dla niej ziemią jałową. Głód i mróz. Matka egocentryczna, ojciec w depresji. Tak to wyglądało prawie od zawsze. Może kiedyś, na samym początku,

ojciec był jeszcze żywy. Kaja pamiętała, że chodzili na spacer, uczył ją jeździć na rowerze, wybierali się na basen, pływali, nurkowali i grali w piłkę. Ojciec był pięknym mężczyzną, zwłaszcza teraz widziała to jasno, w tym kraju zaniedbanych mężczyzn w burych ubraniach (spodnie brąz lub szare, góra szara lub brąz). Miał Azerów wśród przodków i chyba po nich gęste włosy, wyrazistą twarz o dość ciemnej cerze i duże ciemne oczy, poza tym był wysoki i szczupły. Kiedy mówił w towarzystwie o tych azerskich przodkach, matka zawsze poprawiała: „Nie azerscy, ormiańscy”. Z czasem Kaja pojęła, że Ormianie lepiej się nadawali, bo są chrześcijanami, podczas gdy Azerowie wyznają islam.

Matka, wierząca, obracała się w środowisku prawicowo-katolickim. Dom był zasobny, zawsze zatrudniali gosposię do sprzątnięcia i gotowania. Kiedy Kaja miała trzynaście–czternaście lat, zajmowała się tym Lidka, ciemna, śmieszna i chichocząca, w której Kaja się zakochała. Wtedy już było dla niej jasne, że w tej kwestii nic się nie zmieni i oczekiwania matki wobec niej są poronione. Oczekiwania obejmowały studia prawnicze, tak by mogła później prowadzić interesy rodziny; małżeństwo z dobrym katolikiem i przynajmniej dwoje dzieci. Ojciec tych nadziei nie podzielał, ale nie wchodził w konflikt z matką. Był jednak dla Kai zdecydowanie lepszym rodzicem, bo nie oczekiwał, że córka skompensuje mu jakieś życiowe straty. Patrzył, więc widział, że nie jest zainteresowana chłopcami. Wtedy jednak miał już depresję, której nie leczył, i jego kontakt ze światem był ograniczony. Kaja tak bardzo chciała, żeby znalazł sobie kogoś, żeby się zakochał, żeby ożył, żeby poszedł na terapię i ożył, żeby się rozwiódł i ożył. Ale nie ożył. Kiedy przyszła choroba, zachował się tak, jakby na nią czekał – poddał się i w końcu, po trudnym roku, umarł. Przynajmniej według oficjalnej wersji. Kaja sądziła, że nie tyle umarł, ile się zabił, ale takie stwierdzenie było nie do zaakceptowania. Matka po jego śmierci zarządzała majątkiem rodziny – dwoma hotelami – i zajmowała się przynależeniem do towarzystwa, do którego należały też rodziny, które „wydały” – jak to ujmowała – biskupów i kardynałów. Po serii strasznych awantur, po tym, jak Kaja oświadczyła, że jest lesbijką, ateistką i nienawidzi

Kościół, matka – akurat siedziała przy toalecie, szykując się do wyjścia na jakieś spotkanie – zapytała ją:

– A jakbyś się czuła, gdyby wszystkie twoje nadzieje, wszystkie twoje oczekiwania dotyczące własnego dziecka zostały przetrącone? Jakby ci nic nie zostało w ręku!

– Nie miało ci nic zostać w ręku, w sercu powinnaś coś mieć! – krzyknęła Kaja. – Nie jestem rzeczą, żeby ci w ręku zostawać!

Matka siedziała na swoim fotelu, elegancka, w szarym sweterku, z perełkami na szyi; położyła dłoń jakoś blisko gardła, na perełkach, i powiedziała twardo, z nienawiścią:

– Wolalabym, żebyś umarła, niż żebyś była taka.

—
TE SŁOWA nie zostały od tamtej pory cofnięte i dlatego teraz matka nie wiedziała o tym, że Kaja jest w szpitalu.

—
PO POŁUDNIU pielęgniarka powiedziała jej, że operacja przesunie się o jeden dzień, bo wczoraj wypadły aż dwa nieplanowane zabiegi i chirurg musi odpocząć. Bardzo przepraszają, ale inaczej się nie da. Kaja przyjęła to do wiadomości, co miała zrobić.

Tego samego dnia, już pod wieczór, przyjechała jeszcze raz Martyna i przywiozła mp3 z biografią Simone de Beauvoir

i z muzyką, żeby Kaja przeżyła kolejny dzień. Siedziały potem na korytarzu, na którym już zgaszono większość lamp, przy punkcie pobrań świeciło niebieskie światło, za oknem było ciemno. Martyna bardziej się wymknęła, niż wyszła, bo minęły już godziny odwiedzin. Kaja wróciła do pokoju. Pani Tola jeszcze coś czytała, podniosła oczy na Kaję i powiedziała:

– Jest tu pani drugi dzień i ta pani już była dwa razy, jak to miło mieć kogoś takiego, tak oddanego. Moja córka będzie dopiero jutro. Czy to pani siostra może?

– Siostra? – spytała zaskoczona Kaja.

– Nie, to moja przyjaciółka.

– A rodzina nie odwiedzi pani?

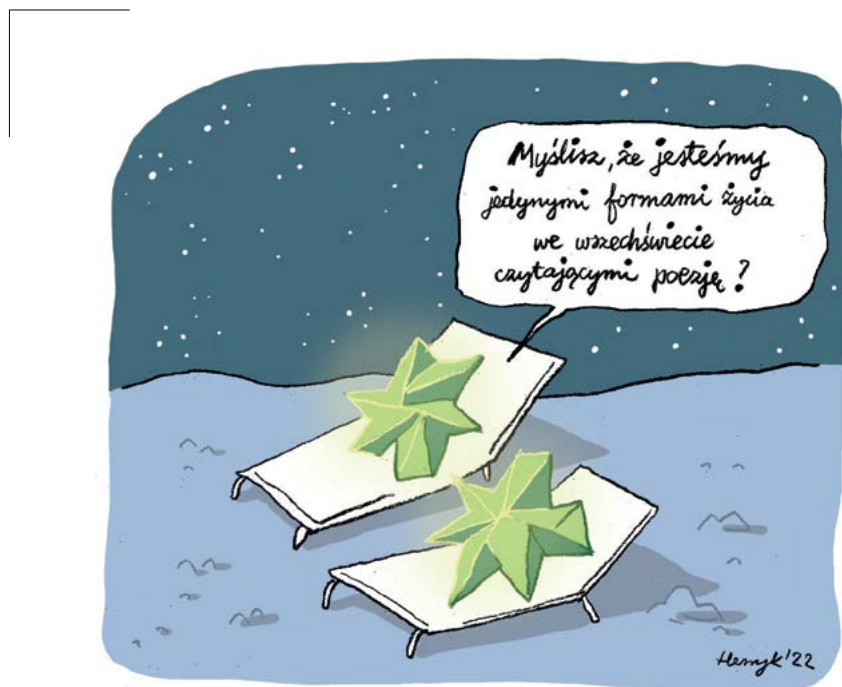
– Ojciec nie żyje.

– Oj, przykro mi. A mama?

– Matka powtórnie wyszła za mąż i teraz mieszka w Australii – powiedziała Kaja. Po czym musiała opowiedzieć, co i jak. Wysłała swoją matkę do Port Darwin, gdzie została żoną właściciela firmy pogrzebowej. Ojczyzna Kaja bardzo lubi.

– Też z Polski? – zaciekała się pani Tola.

– O, nie, to Australijczyk! – zdecydowanie stwierdziła Kaja, ten jeden raz wybierając dla matki lepszy los. – Bardzo miły człowiek, biznesmen. Jeżdżę do nich, nie za często oczywiście, bo wie pani, bilet lotniczy do Australii kosztuje jednak majątek, no i podróz



jest strasznie długa, choć co do pieniędzy, to oni zawsze proponują, że mi zafundują. Jak tam jest pięknie – rozmarzyła się. – Ciepło, wokół ocean, wszędzie, wszędzie woda i wielkie statki, uwielbiam się na nie gapić, jak jestem w porcie.

– Sama pani tam jeździ?

– Sama.

– A nie ma pani nikogo, chłopaka czy narzeczonego?

„Ach, w tym sensie sama” – pomyślała Kaja, nagle przestraszona.

– Taka ładna dziewczyna. Przepraszam, że tak pytam, ale wie pani, na tablicach przy łóżku mamy napisany wiek, i co prawda pani wygląda na dwadzieścia pięć górą, ale zerknęłam i widzę, że tam jest więcej jednak. – Pani Tola uśmiechnęła się porozumiewawczo.

Kaja nie mogła zerwać tego niby-porozumienia, nie mogła po prostu.

– Mam narzeczonego – powiedziała, cierpiąc. – Ale teraz jest we Wrocławiu, firma go wysłała.

Musiąca potem wyjaśnić, co to za firma, więc odpowiedziała, że farmaceutyczna.

– Farmaceutyczna! – powtórzyła pani Tola z uznaniem. – No, firmy farmaceutyczne nie są biedne.

Kaja pożałowała, że swojego narzeczonego także nie zostawiła w Australii.

PO ŚNIADANIU leżała na pościelonym łóżku i pisała w tablecie liścik do przyjaciółki, kiedy wszedł ksiądz.

– Czy potrzebna spowiedź, komunია? – zapytał.

– Ja mam teraz badania – powiedziała pani Tola – ale potem zejść na dół do kaplicy. A do której ksiądz tam jest?

– Dziś do siedemnastej.

Stał nadal i patrzył na Kaję.

– Nie, ja dziękuję – powiedziała Kaja, podnosząc na niego oczy znad tablety.

– A ja po tych oczach widzę – odparł ksiądz – że i tak by się u pani komunია nie przyjęła.

Kaja zdreptała, rozumiała jednak, co do niej powiedział. Stał jeszcze chwilę w drzwiach, po czym zwrócił się do pani Toli:

– To chętnych zapraszam. – I wyszedł.

PRZEZ GŁOWĘ przemknęła jej myśl o azerskiej urodzie przodków ojca; ona sama też ma ciemne oczy i wijące się, ciemne włosy. Jest „Żydówką” czy czarownicą?

Pani Tola popatrzyła na nią z wyrazem dezorientacji, jakby nie była pewna, czy dobrze usłyszała i co o tym sądzić.

Kaję najpierw szarpnęła złość i wypadła za księdzem na korytarz – nie, ona mu powie, to jest szpital, a nie jego folwark! Jak śmie ten klecha z czerwoną gębą! Na korytarzu nie było go widać, winda zjechała, Kaja poczekała, aż wróci, było w niej wiele osób, zjechała na piąte, na którym winda się poprzednio zatrzymała, zajrzała do kilku sal, nie było go.

Wróciła na górę, usiadła w swoim fotelu pod oknem. Zanim ochłonęła, poczuła chłód od środka i potem elektryczny prąd lęku. Gniew się wycofał, wyrzał lęk; czuła, że pali ją twarz; pragnęła zapalić papierosa, choć rzuciła palenie dwa lata temu.

KUPIŁA W KIOSKU papierosy i zapalniczkę, po czym wyszła w swoim fioletowym dresie przed budynek, gdzie stało już kilkoro pacjentów w szlafrokach i paliło. Zielen zółkła, brązowiła, czerwieniła, świeciło nikłe słońce, ale ona wpadła do czarnej, głuchej dziury.

Zapaliła gładko, jakby nigdy nie rzuciła, i miała wrażenie, że trochę ją to uspokaja, ale po chwili poczuła taki strach, że skóra na plecach się jej ściągnęła. Spociała się i gardło jej się ścisnęło.

„Zabiją mnie tu” – pomyślała.

Jednocześnie dodała: „Wariuję”.

„Wariuję, bo mogą”.

„Nie, nie mogą”.

Zgasiła papierosa. I zapaliła nowego.

Patrząc z boku, można to tak podsumować: przychodzi do niej tylko Martyna. Nie chciała spowiedzi ani komunii, miała spięcie z księdzem, tak można to ująć. Ten ksiądz tu pracuje od lat, na pewno go tu znają. Jej nikt nie zna. Może to nie ma znaczenia, a może w tym zestawie ma, ale ona nie je mięsa. I ma ciemną urodę, całkiem niesłowiańską... Ale tu to tylko znaczy „żydowską”, bo to, co nie-polskie, jest żydowskie, kropka. Tak myślą. Isia, ich starsza przyjaciółka, Żydówka, która teraz mieszka w Hajfie, ale wiele lat spędziła

w Polsce, opowiadała, że jakoś po maturze zrobił się jej spory, ale niezłośliwy guz w piersi. Usypiano wtedy środkiem, który wyłączał świadomość stopniowo, a nie tak jak dziś, kiedy anestetyk robi pstrykl i już cię nie ma. Isia jeszcze nie całkiem odpłynęła, kiedy usłyszała, jak chirurg mówi: – Taka typowa Żydówka, można by jej ciachnąć cały cycek.

Czy nie wie, na ile w tym kraju można się różnić? Nie można w ogóle. Jeśli pani Tola domyśli się, że z wizytą przychodzi tylko kobieta, bo Kaja jest taka, jeśli coś tam opowie pielęgniarce, a któraś powie lekarzom lub ksiądz zrobi jakąś uwagę... to Kaja wyłeci przez okno.

„No nie, nie – pomyślała – tak się nie dzieje, mam paranoję”.

Ale była strasznie napięta, czuła ucisk w zębach, kiedy oddychała. Sięgnęła po kolejnego papierosa, ale zrobiło się jej niedobrze. Wróciła na górę i kiedy weszła na korytarz ginekologii, od razu zauważyła panią Tolę w drzwiach przeszkłonego boks, przy stanowisku pielęgniarek. Rozmawiała z dwiema z nich; śmiały się.

PO POŁUDNIU przyszła Martyna; gdy zeszły na dół, do baru, od razu spytała Kaję, co jej jest.

– Jesteś szara – powiedziała. – Nic nie kombinuj, mów, co się dzieje.

Kaja, smutna i wzburzona jednocześnie, opowiedziała o księdzu.

Martyna roześmiała się.

– Nie przyjmie się? Komunია? Co to za brednie?

– Nie śmieć się – powiedziała Kaja. – Ty się na tym nie znasz, bo Wanda cię nie wychowywała po katolicku, na twoje szczęście, i nie wiesz, co to znaczy.

– Nic to nie znaczy – powiedziała Martyna. – Komunია się nie przyjmuje, to kawałek mąki z wodą.

– Nie przyjmuje się na diabie, Żydówce i czarownicy. Na antychryście. Tak mnie widzi. Wszystko do mnie wróciło, Martyno. Mam taki niepokój, mówię ci. – Pokazała, jak trzęsą się jej ręce.

– Ach, to wredne – rozzłościła się Martyna. – Po co on tu jest, ma, zdaje się, pomagać, tu są chorzy ludzie! Złożmy na niego skargę, chyba ma jakichś swoich przełożonych?

– Nie teraz! – prosiła Kaja. – Jak stąd wyjdę. Dopóki tu jestem, mowy nie ma.

– O, dobrze – odpowiedziała Maryna. – Oczywiście.

– Boję się – powiedziała Kaja – boję, wiem, że to nieracjonalne, idiotyczne, ale nie mogę o tym przestać myśleć. Ja to znam z domu. Jak ona powie o mnie pielęgniarce, że jestem zboczona, że miałam scysję z księdzem...

– To ty miałaś scysję? On cię napadł, obraził cię!

– To nieważne, tu wszystko jest według pozycji siły, władzy. Ja jestem nikim, jestem pacjentką, kimś z ulicy. Jak ona powtórzy, co ksiądz powiedział, a pielęgniarka przy mnie to poważnie, szepnie lekarzowi, nie... no po prostu boję się, zrozum mnie, proszę, Martynko, ja wiem, jak to działa, znam to.

– No co ty – powiedziała poważnie Martyna. – Widzę przecież, co się z tobą dzieje. Coś wymyśliliśmy.

Wyciągnęła telefon komórkowy i zaczęła przeglądać kontakty.

– Damian? – spytała i sama sobie odpowiedziała: – Nie, od razu widać. Musi być facet, jednoznacznie. – Tomka można spytać – zdecydowała po chwili. Tomek był jej znajomym, technikiem dentystycznym.

– Powiedziałam, że narzeczony jest farmaceutą.

– To w razie czego będzie się znał na materiałach i lekach dentystycznych.

– Tak, proszę – powiedziała Kaja.

KOLACJA była o osiemnastej i zaraz po niej przyszedł Tomek, wyposażony przez Martynę w czerwoną różę i wodę niegazowaną.

– Tomek! – zawołała Kaja. – Jaka niespodzianka!

Pani Tola była w pokoju, czytała kolorowe pismo przy stoliku pod oknem. Tomek został jej przedstawiony jako narzeczony Kai, farmaceuta.

– A to pan już wrócił?

– Tak! I prosto z dworca przypędziłem do Kai.

Potem jeszcze porozmawiali o farmacji, choć Tomek powiedział, że najlepiej zna się na lekach i materiałach dentystycznych, bo teraz w tym się wyspecjalizował.

– Firma mi zafundowała szkolenie

– powiedział. Wyjaśnił pani Toli, jakich materiałów używa się do implantów.

– Ale to tyle kosztuje... – westchnęła.

– Prawda – zgodził się Tomek. – Ale wie pani, te materiały są po prostu drogie, dentyści też płacą za nie spore pieniądze.

Chwilę jeszcze porozmawiali we troje, potem Kaja zabrała Tomka na dół.

Lekarka na wieczornym obchodzie była dla Kai miła, może szczególnie, a może zwyczajnie, była pierwszy raz, więc Kaja nie wiedziała. Pielęgniarka, ta sama sympatyczna blondynka, do której Kaja poszła za pierwszym razem na badanie krwi, dała jej obligatoryjnie proszek na sen, żeby się nie denerwowała jutrzejszym zabiegiem. Rano znów podano jej coś na uspokojenie, po czym była półsenna, a potem już pojechała na salę operacyjną. Leżała na wąskim łóżku; pani anestezjolog uśmiechnęła się do niej i powiedziała, że ma ładny odcień włosów, takie piękne, ciemne, gęste włosy. „Widocznie anestezjologów uczą – pomyślała Kaja – uczą ich, ale i tak to miłe” – I w tym samym momencie Kaje wyłączono.

KIEDY SIĘ ZNÓW WŁĄCZYŁA, była noc.

Leżała w sali pooperacyjnej, w półmroku, podłączona do urządzeń rejestrujących. Po jakimś czasie przyszedł jej wysoki lekarz żartowniś i powiedział, że wszystko jest w porządku, a gojenie powinno przebiegać dość szybko. Kaja podziękowała. Oprócz niej na sali na łóżku za parawanem leżała jakaś inna młoda kobieta, która strasznie wymiotowała.

– A jak się pani czuje? – spytała pielęgniarka, którą Kaja też już kojarzyła, około pięćdziesiątki, wysoka, o silnym ciele.

– Ja? – spytała Kaja półsennie. – Raczej dobrze.

– No bo widzi pani, ta biedaczka strasznie wymiotuje po narkozie, tak się czasem zdarza. Gdyby pani miała mdłości, proszę mnie wołać.

Po kilku godzinach drzemki Kaja się obudziła, dostała kolejną kroplówkę ze znieczuleniem i znów zasnęła.

RANO WRÓCIŁA do swojej sali, do pani Toli. Cały dzień drzemała, nie jadła niczego,

dostała kilka łyżeczek wody, drzemała, ale wiedziała, że na pewno koło jej łóżka siedziała przez jakiś czas Martyna i trzymała ją za rękę.

– Rozalka cię ulizuje z całego serca – powiedziała do niej szeptem. – Chcesz, żeby Tomek jeszcze przyszedł?

– Raz, może jeszcze raz.

– Dobrze, to poproszę, żeby wpadł po jutrze. Potem już będzie z goręki.

Następnego dnia Martyna przysłała posiedzieć przy Kai, pomóc jej wstać do toalety i do łazienki, a dzień później przysłała z Tomkiem i pierwsza wyszła. Tomek się przydał, ubezpieczał przejście Kai do łazienki i z powrotem. Na pożegnanie pocałowali się w usta, bo w pokoju oprócz pani Toli była jeszcze inna nowa pacjentka, na dwudniowe badania; Kaja powiedziała mu do ucha:

– Ogromnie ci dziękuję, wiem, że wariowałam.

– A bo ja wiem? – mruknął sceptycznie Tomek, tak zawsze racjonalny, ogarnięty. – Nie jestem taki pewny.

WESOŁY LEKARZ dał jej wskazówki i uprzedził, by nie liczyła na to, że rekonwalescencja potrwa mniej niż miesiąc, a nawet półtora.

– Proszę się dobrze traktować. Kontrola za tydzień, za dwa zdejmujemy szwy.

– Dobrze – odparła Kaja i uśmiechnęła się do niego pierwszy raz.

w SAMOCHODZIE starała się przyhamować nadchodzącą falę, wzięła głęboki oddech i z wydechem jednak się rozplakała. Najpierw cicho, pośpiesznie ocierając łzy, potem coraz bardziej, w końcu rozszoła się tak, że aż się zanosila. Spuściła głowę i płakała rozpaczliwie. Martyna zjechała na bok, zaparkowała pod drzewem, wyłączyła silnik i chwilę milczała.

– Kaju, ja wiem, ale proszę, masz świeże szwy! Nie możesz tak, może się coś stać, przecież cała się trzęsiesz! Kochana, nie płacz, proszę, nie wolno ci!

Przytuliła ją i Kaja, też przestraszona, umilkła, z głową na piersiach Martyny.

W końcu nie chciałyby się rozpruć i zalać krwią.



Poezja
w „Piśmie”
powstaje przy
wspieraniu
**Institutu
Kultury
Miejskiej**
w Gdańsku,
organizatora
festiwalu
**Europejski
Poeta Wolności.**

Laureatka
Nagrody
Europejski
Poeta Wolności
2022.

POEZJA

Metamorfoza

LULJETA LLESHANAKU

—
Nadchodzi lato,
a wraz z nim desperacka tęsknota za życiem,
nawet jeśli wciąż żyjesz. Masz kolejną szansę
zbliżenia...
Zbliżenia do kogo? Do czego?
Nie potrafisz tego nazwać.

W dzieciństwie rysowałeś kwadrat z kominem,
nad którym unosił się niebieski dym i nazywałeś to domem;
żółtą kulę – słońcem; czerwone kółko z ogonkiem – jabłkiem,
a jabłko zgniecione
– sercem.

Wtedy wszystko było proste.
Mimo upływu czasu obiekty są wciąż te same;
nadaliśmy tylko nazwy rzeczom
jak nadajemy pieszczotliwe przydomki ulicom i zaułkom
w mieście, w którym mieszkamy od lat,
nie mogąc uczynić ich własnymi.

A potem, kiedy tracimy nadzieję,
przywracamy obiekty znowu
do pierwotnego stanu:
dom z niebieskim dymem, oślepiająca żółta kula,
jabłko i serce.

Kiedy nie ma już nadziei,
zamieniamy obiekty w sztukę
lub chociaż w kazanie,
które zostawimy przyszłym pokoleniom.

Warszawa–Tirana, styczeń–lipiec 2021

przełożyła Dorota Horodyska

LULJETA
LLESHANAKU

(ur. 1968), poetka, dziennikarka, tłumaczka, autorka scenariuszy. Ukończyła filologię albańską na Uniwersytecie w Tiranie. Od 1994 roku opublikowała osiem tomików wierszy w języku albańskim. Jej twórczość publikowana była w Austrii, Chorwacji, Francji, Hiszpanii, Polsce, Stanach Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i Włoszech. W ramach drugiej edycji EPW w 2011 roku ukazał się w Polsce jej zbiór *Dzieci natury (Femijët e natyrës* w przekładzie Doroty Horodyskiej).

SOCZEWKA PISMA

Ziemia, część 4. Człowiek, wyrodne dziecko matki natury

tekst TOMASZ ULANOWSKI

DOPROWADZILIŚMY DO SZÓSTEGO wielkiego wymierania. Tymczasem los gatunku ludzkiego jest ściśle powiązany z resztą świata ożywionego. Czy zdążymy na czas nauczyć się o niego dbać?



Samica orangutana z dzieckiem w lesie deszczowym na Borneo w Indonezji.

Figowiec kostarykański to urodzony morderca, który rośnie odwrotnie niż nasze drzewa – pnąciami z góry na dół. Podobnie jak w przypadku wielu innych gatunków figowców jego życie zaczyna się od nasiona, które wydalone wraz z kałem przez ptaka czy inne zwierzę trafia na gałąź drzewa gospodarza. To na niej kiełkuje i długo rośnie jako tak zwany epifit – roślina żyjąca na innej roślinie. Jego korzenie wytrwale dążą jednak do powierzchni ziemi. Kiedy do niej docierają, figowiec zaczyna się rozrastać wokół drzewa gospodarza, coraz bardziej je zasłaniając, aż w końcu je dusi, odcinając mu dostęp do światła słonecznego i powietrza. Stąd pnie wielu dorosłych figowców, sięgających wysokości 30 metrów bądź więcej, są puste w środku. Martwe drzewa, na których się kiedyś opierały, są powoli, ale nieuchronnie rozkładane przez bezkręgowce i mikroorganizmy, a ich materia zostaje ponownie wprowadzona do obiegu węgla w przyrodzie. Tak się kręci karuzela życia.

Rozmnażanie się figowców zależy od symbiotycznych gatunków bleskotek, po angielsku zwanych *fig wasps* – osami figowymi. Larwy bleskotek rozwijają się wewnątrz fig – tego, co my postrzegamy jako owoce, a co tak naprawdę jest skorupą otaczającą kwiaty (i dającą pożywienie larwom). Samce wykluwują się pierwsze. Zapładniają niewyklute jeszcze samice i giną. Kiedy wykluwują się samice, opuszczają swoje rodzime figi, zabierając ze sobą pyłek kwiatowy. Przedostają się do kolejnych owoców i składają w nich jaja, jednocześnie zapylając wewnętrzne kwiaty. Potem giną. Owoce są zjadane przez zwierzęta, które następnie rozsypują z kałem nasiona na kolejne drzewa tropikalnej puszczy.

Ekocyd, czyli jak rozładujemy ziemską baterię

KIEDY DOKTOR J. Alan Pounds, biolog z Rezerwatu Lasu Mglistego Monteverde w Kostaryce, opowiada mi o cyklu życiowym figowców, zdaję sobie sprawę, dlaczego w dzieciństwie tak niechętnie parzyłem na otaczające moje łóżko fikusy. W rodzinnym domu mieliśmy ich sporo.

Prawdopodobnie były to figowce benjamina, popularne w Polsce rośliny ozdobne. Rosły tak wysoko, że ciągle przewracały doniczki i spadały mi na głowę. Czułem, jakby mnie chciały zadusić tymi swoimi ciężkimi, twardeymi liśćmi.

Stoimy na wąskiej leśnej ścieżce wiodącej przez rezerwat. Po obu stronach piętrzą się ściany nieprzeniknionej zieleni o wszystkich możliwych do wyobrażenia odcieniach (nieprzypadkowo ewolucja wyczuliła nasz zmysł wzroku na ten kolor). Mówię Poundsowi, że czuję się nieswojo, że wołę otwarte przestrzenie sawanny. – Nic dziwnego – odpowiada. – W końcu to głównie na nich człowiek spędził ostatnie kilka milionów lat. No i w lesie mało widać, a potencjalne zagrożenie czai się na gałęziach. Rdzenni mieszkańcy tutejszych lasów nie bali się węży pod stopami, tylko tego, że coś im spadnie na głowę.

Uczony żartuje, że część ludzi czuje się w lesie tak nieswojo, że od razu chce go ścinać. Zapewne i tu leży część wytłumaczenia, dlaczego od wybuchu rewolucji rolniczej blisko 11,5 tysiąca lat temu ludzkość wycięła prawie połowę drzew. Jakbyśmy to zrobili nie tylko z powodów racjonalnych – pozyskując drewno na opał i do budowy oraz grunty pod uprawy i hodowlę – ale również przez nieświadomiony lęk.

Las Mglisty Monteverde jest bajkowy. Na drzewach, w tym na figowcach, które – jak mówi Pounds – są władcami tutejszej puszczy, rośnie mnóstwo epifitów. Obwieszane nimi matuzalemy wyglądają jak enty z *Władcy pierścieni*. Przez firany zieleni przeświecają promienie słońca. Wszystkimi odcieniami purpury błyszczą kwiaty. Pachnie. Czekam, aż z zielonej gęstwiny wyłoni się Tolkienowski Drzewiec. Kiedy tylko weszliśmy do lasu, prawie zobaczyłem świętego ptaka Majów i Azteków – kwezala herbowego (*quetzala*). Zaskrzeczał, poderwał się i uleciał ponad dach liści, migając mi skrzydłami. Turyści przyjeżdżają tu specjalnie dla niego. – Czasem mówią, że jeśli nie zobaczą kwezala, to cała ich podróż pójdzie na marne – śmieje się Pounds. Trudno, będę się musiał zadowolić powidokiem majestatycznego, czerwono-zielonego ptaka z pięknym, długim ogonem.

Choć jesteśmy w tropikach, wysokość półtora tysiąca metrów nad poziomem morza

sprawia, że panuje tu przyjemne 21 stopni Celsjusza. Tylko mgły w tym lesie mglistym nie ma. Widziałem ją po drodze, podziwiając chmury zaczepione na szczytach wyższych gór. Nawiewają je tu pasaty – ciepłe, silne wiatry wiejące w strefie międzyzwrotnikowej ze wschodu. Te kostarykańskie przynoszą wilgoć znad Morza Karaibskiego. Pokonując łańcuchy górskie biegnące przez Amerykę Środkową, para wodna się skrapla i spływa mgłą na tutejsze lasy (a wyżej na tak zwane paramo – formację roślinną składającą się z traw i zarośli, która w Kostaryce zaczyna się mniej więcej na wysokości 3200 metrów nad poziomem morza). Tak tworzą się lasy mgliste. – Niestety, w Monteverde poziom chmur napływających znad Morza Karaibskiego od jakiegoś czasu się podnosi – zauważa Pounds. – Tutejszy las mglisty zmienia się więc w zwykły las deszczowy. To lokalne skutki globalnego ocieplenia.

Mój rozmówca w samą porę pojawił się w tutejszym rezerwacie o powierzchni 105 kilometrów kwadratowych, założonym w 1972 roku przez kostarykańskie Tropikalne Centrum Naukowe. Wykupiło ono ziemię od amerykańskich kwaków, którzy przenieśli się tu na początku lat 50. ubiegłego wieku z Alabamy, gdy Kostaryka zlikwidowała własną armię (chcieli w ten sposób uniknąć poboru na wojnę koreańską, bo wyznanie zabrania im walczyć). – Przyjechałem z USA w 1981 roku, będąc ciągle studentem – wspomina Pounds. – Mój profesor badał płazy, więc chciałem popracować tu przez miesiąc. Jednak tak mi się spodobało, że postanowiłem zacząć własne badania, na których zdecydowałem się oprzeć pracę doktorską. Miałem szczęście, bo znalazłem się w Monteverde akurat w czasie jednego z najpotężniejszych El Niño w historii XX wieku, które trwały w latach 1982–1983.

El Niño (hiszp. dzieciątko) to powtarzające się co kilka lat zjawisko klimatyczne w rejonie równikowym Oceanu Spokojnego. Z niewyjaśnionych do końca powodów pasaty słabną i z mniejszą siłą pchają rozgrzane wody powierzchniowe na zachód. W efekcie ciepła woda zbiera się we wschodnim rejonie Pacyfiku, a na powierzchnię zachodniej części wypływa zimna woda głębinowa. Powoduje to ogromne turbulencje w dostawach energii z oceanu do atmosfery,



● ● lądowe i morskie tereny znajdujące się pod ochroną

a w efekcie – olbrzymie zaburzenia pogodowe. Tam, gdzie powierzchnia oceanu jest rozgrzana, pojawiają się nadmierne opady deszczu i powódzie. A tam, gdzie naskórek oceanu jest zimny, brakuje wilgoci parującej zwykle z Pacyfiku i przychodzi susza. Klimatyczny wpływ El Niño jest zresztą tak mocny, że wykracza poza ogromny Ocean Spokojny. Globalnie rzecz biorąc, w latach dotkniętych przez to zjawisko temperatura jest wyższa od średniej.

Nawiasem mówiąc, obecnie na Oceanie Spokojnym panuje lustrzana siostrzyczka El Niño, czyli La Niña, która na jego wschodnim wybrzeżu przyniosła suszę, a na zachodnim – ulewne opady. – W Kostaryce El Niño przynosi suszę [inaczej niż w Ameryce Południowej – przyp. T.U.] – opowiada mi Pounds. – Gady żyjące na wysokości 1400 metrów nad poziomem morza, które akurat badałem, prawie stamtąd zniknęły. Niestety, kiedy El Niño się skończyło, sprawy nie wróciły do normy. Zmiany ekosystemowe zostały potem pogłębione przez jego kolejny atak z lat 1986–1987. Załamała się wtedy między innymi populacja ropuchy złotej, a także innych płazów i gadów.

Piękna ropucha złota była gatunkiem endemicznym, występującym tylko w Rezerwacie Lasu Mglistego Monteverde na wysokości od 1500 do 1620 metrów nad poziomem morza. Była, bo obecnie Międzynarodowa Unia Ochrony Przyrody uznaje ją za gatunek wymarły. – Od lat 80. ubiegłego wieku jej populacja się zmniejszała, aż w połowie lat 90. całkowicie zniknęła – wspomina uczony. – To wymieranie było wyraźnie skorelowane nie tylko z epizodami El Niño, ale i ze wzmagającymi się zmianami klimatycznymi, rosnącą temperaturą i malejącymi opadami. W 1999 roku opublikowaliśmy więc w „Nature” tekst, w którym powiązaliśmy wymieranie płazów i zmiany w występowaniu ptaków z ociepleniem klimatu i podnoszeniem się podstawy chmur. Zmiany zachodzące w tutejszym ekosystemie tak mnie zafascynowały, że zostałem w Monteverde do dziś – uśmiecha się.

J. Alan Pounds stał się propagatorem teorii, że za obserwowane w tropikach wymieranie płazów odpowiada globalne ocieplenie. Inni naukowcy dorzucili do niej aspekt biologiczny: okazało się, że do zagłady żab czy ropuch przyczynia się chytridiomikoza, grzybicza choroba skóry. Jest ona dla tych

oddychających przez skórę zwierząt śmiertelnym zagrożeniem. – Nie sądzę jednak, że chytridiomikoza podważa naszą teorię – twierdzi Pounds. – Zagłada gatunków zawsze ma wielorakie przyczyny. Zdaniem moim i moich współpracowników śmiertelne epidemie wśród płazów są związane ze zmianami klimatu. Przez ostatnie pięćdziesiąt lat średnia temperatura wzrosła tu o ponad stopień. Jeszcze w latach 70. w rezerwacie w Monteverde zdarzało się tylko dwadzieścia pięć dni bez deszczu w ciągu roku. Przez ostatnią dekadę mieliśmy ich średnio 115 rocznie. W jednym z badanych przez nas miejsc zmniejszyła się nie ilość średniorocznych opadów, ale ilość wody przynieszonej systematycznie przez mgłę. Dlatego powiedziałem, że tutejszy las mglisty zmienia się w deszczowy.

– Jak to wpływa na różne gatunki? – dopytuję.

– Te z badanych przez nas płazów, które nie wyginęły, przeniosły się na tereny położone wyżej, gdzie jest chłodniej i wilgotniej, bo docierają tam chmury. Dramatyczne zmiany dotknęły populacje ptaków, w tym kwezala. Mamy mniej owadów niż kiedyś. Brak mgły wpływa negatywnie na storczyki. Endemiczne gatunki zwierząt i roślin są zastępowane przez uniwersalne, potrafiące żyć w różnych warunkach, w tym przez ludzi, którzy wprowadzają się tu wraz z rozwojem ekoturystyki. Zmiany klimatu spłaszczają góry, czyniąc ich ekosystemy podobnymi do występujących na nizinach – podsumowuje naukowiec.

– Nie przygnębia to pana?

– Znajomi mnie pytają, jak to możliwe, że te wszystkie zmiany, śmierć mojego ukochanego lasu, którą obserwuję przez całą swoją karierę zawodową, nie wpędziły mnie w depresję – uśmiecha się. – Odpowiadam na to pytaniem: „A skąd wiecie, że nie mam depresji?”

—
NAJWYŻSZY SZCZYT w okolicy Monteverde to Cerro Amigos wznoszący się 1842 metry ponad poziom morza. Tutejsze gatunki nie mogą więc przenosić się na wyższe tereny w poszukiwaniu wilgoci. Nie ma jednak wątpliwości, że zmiany klimatu dotyczą także organizmy żyjące w innych rejonach świata,